



Elżbieta Gorzycka i Jacek Brzostyński w scenicznej adaptacji powieści Hemingwaya „Komu bije dzwon”; Państwowy Teatr Zagłębia w Sosnowcu
Zdjęcie: Stanisław Gadomski

Liryczny dramatyzm

Z pewnym niepokojem jechałem do Sosnowca, by zobaczyć w tamtejszym teatrze sceniczną adaptację głośnej powieści Ernesta Hemingwaya „Komu bije dzwon”. Pomysł wystawienia tego utworu wydał mi się karkołomny nie tylko dlatego, że adaptowanie klasycznych dzieł beletrystycznych zawsze jest ryzykowne nawet dla najlepszych zespołów. Moje wątpliwości były tym większe, że ciągle pobrzmiewa we mnie echo pierwszej, młodzieńczej lektury tej książki. Tym razem nie mogłem więc spodziewać się zbyt wielkich emocji, choć wiedziałem, że adaptacji dokonała Lidia Zamkow, mistrzyni w tej dziedzinie. Rzeczywiście, okazało się, że sposób przystosowania powieści do wymogów i prawideł, jakimi rządzi się teatr, był świetny, co nie oznacza oczywiście, że nie zubożono wizji świata tak sugestywnie przedstawianej przez Hemingwaya. Było to po prostu niemożliwe. Wzrost tej adaptacji sprowadza się do umiejętnego odwzorowania tego, co w powieści Hemingwaya najcenniejsze — lirycznego dramatyzmu. Zamkow zaproponowała technikę retrospekcji: kolejne epizody układające się w barwna i żywa akcja jawia się przed widzami jako projekcje wspomnień umierającego Jordana. Ba, tylko jak skonstruować to na scenie, wszak teatr to nie film, który dzięki montażowi łatwo i błyskawicznie przenosi nas w czasie i przestrzeni? To zadanie mieściło się już w kompetencjach reżysera.

Zaskoczyła mnie praca Janusza Ostrowskiego, z dużym wyczuciem układającego mozaikową strukturę spektaklu i dlatego nie podzielałem opinii tych, którzy powiadają, że zmiany w czasie i przestrzeni wpadły na sosnowieckiej scenie nieporadnie.

Wprost przeciwnie — dobrze służyły im wszystkie ważniejsze tworzywa przedstawienia: muzyka Stanisława Radwana, nie tylko malująca lokalny koloryt hiszpańskiej ziemi, ale i kontrapunktująca poszczególne sceny, sygnalizująca zmiany konwencji; kostiumy Danuty Knosali, w dużej mierze decydujące o tym, że nie zatracono rodzajowości scen, pełniące tę funkcję, jaką w każdej dobrej powieści dookreślająca bohaterów, ich psychikę; świetna praca świateł, pozwalająca odchodzić od teatru werystycznego do teatru psychologicznego, heroizm postaw ludzkich zamieniająca (jak w finale) w symboliczną retorykę; scenografia Jerzego Moskala, tyleż realistyczna co i metaforyczna (wykorzystanie rzeźbiarsko przedstawionych „kawałków” Picasowskiej „Guerniki”), dramatycznie wyznaczająca granice, w których mieści się i życie i śmierć.

Ponad wszystko jednak zaskoczyło mnie aktorstwo. Robert Jordan, jak już wspominałem, był idolem moich szkolnych lat, dlatego nie ludziłem się, że Jacek Brzostyński zdoła zbliżyć się do moich wyobrażeń o tym człowieku. A jednak mu się to udało. To po prostu dobrze opracowana rola, Jordan w jego interpretacji to człowiek, a nie papierowy bohater. Jeśli jest w nim heroizm i niezwykłe męstwo, to wynika to z racji moralnych, ukrytych przed światem, a ujawniających się tylko poprzez działanie. Brzostyński uzyskał przez to dużą wларыgodność, tym wyraziściej, że wzmocniona naturalnym gestem odartym z patosu. To okazało się decydujące w scenach z Marią, gdzie udało się uciec przed ekliwym sentymen-

lizmem. A to było niezwykle trudne, jako że przedstawienie wymagało realizmu, a wiadomo że nietatwo na scenie pokazać na przykład pocałunek kochanków, tak aby nie uzyskać efektu odwrotnego i niezamierzonego. Teatr w ramach konwencji realistycznej rzadko dobrze służy pokazaniu intymności, stąd i rolę Marii w wykonaniu Elżbiety Laskiewicz warto wyakcentować, bo jest to rola trudna, w której granica między infantylizmem a żarliwym liryzmem nie była na ogół przekraczana.

Dobra była też Elżbieta Gorzycka w roli Pilar, choć z pewną manierą w głosie próbowała dookreślić to, co udało jej się zrobić poprzez ruch, działanie, oszczędny gest: pokazać chropawość tej postaci, jej surowy, ale i przez to piękny charakter, jej mądrość wynikająca z odrzucenia wszelkiego relatywizmu etycznego. To Gorzycka prowadzi najlepszą scenę przedstawienia, opowieść o odwecie na faszystach, wstrzasająca, bo dobrze wyreżyserowana — partyzanci na chwilę przemieniają się w żadnych krwi mścicieli, są tłumem nie znającym litości, rządzącym się prawami siły i przemocy. Tu efekt odwrócenia akcji i powrotu do przeszłości, w sensie scenicznym, udało się najbardziej.

Powstało w Sosnowcu przedstawienie przyzwoite, aczkolwiek nie porywające, dobrze wpisujące się w jubileuszowy, pięćdziesiąty sezon Teatru Zagłębia. „Komu bije dzwon” zaświadczyło, że sosnowiecki zespół rzadko, bo rzadko, lecz potrafi jednak podjąć się trudnych zadań mogących przynieść satysfakcję i aktorom, i tej tzw. wymagającej części publiczności.

KRZYSZTOF KARWAT